

## **Od Lizbony do Cherbourga czyli mój pierwszy rejs STS "Pogoria" - 2009 r.**

Po kilku miesiącach od zakończenia rejsu nadal zastanawiam się, dlaczego tak bardzo chciałam brać w nim udział. Uczestniczyłam już przecież w kilku rejsach morskich, co sezon pływam po Mazurach, lecz rejs żaglowcem to było to, na co czekałam. Wiem także jak reaguje mój organizm podczas pierwszych dni na morzu, przyznaję też, że choroba morska w moim wydaniu nie należy do najprzyjemniejszych, ale mając w pamięci słowa piosenki Marka Grechuty: „Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy. Ważnych jest kilka tych chwil, tych, na które czekamy”, doczekałam się i ja. Bowiem, może zabrzmi to trywialnie, ale sądzę, że morze za każdym razem, gdy się po nim żegluję, ukazuje się nam w innej odsłonie i tak do końca nigdy nie wiadomo, jak będzie przebiegał rejs. Uważam także, że możliwość dotarcia do innych krajów drogą morską jest o wiele przyjemniejsza i ciekawsza niż wykorzystanie do tego celu współczesnych środków komunikacji. Przytoczę tutaj fragmenty moich zapisków, które bez względu na kondycję w danym dniu sporządzałam, aby o niczym nie zapomnieć.

### **PODRÓŻ**

Zaczyna się fatalnie: stoję w strugach deszczu w centrum Warszawy o drugiej nad ranem. Pozostał kwadrans do odjazdu, a autokaru nie widać. Także telefon do organizatora niczego nie wyjaśnił, był po prostu wyłączony; gdy w końcu przyjechał, zapakowaliśmy się szybko i ruszyliśmy do Berlina. 13.30 Na lotnisku czekamy na odprawę, mamy aż za dużo czasu. Z nudów sprawdzam wagę mojego bagażu, mam 1,5 kg nadwagi. Oddaję więc śpiwór Jarkowi, a najcięższy z ubrań sztormiak zakładam na siebie (w czerwcu) i tak ubrana przechodzę przez kontrolę. 19.00 jesteśmy w Lizbonie. Trochę muszę wraz z innymi poczekać na bagaż i ruszamy na przystanek. Zaczynam się zastanawiać jak grupa licząca 47 osób wraz z bagażami zmieści się do jednego autobusu, ale się udało. Wkrótce też okazało się, że przesiadamy się do kolejki. Wagoniki pamiętające jeszcze pierwszą wojnę światową były malutkie i skojarzyły mi się z podobnymi, którymi jeszcze niedawno jeździłam po Łodzi. Na przystanku docelowym zrobiło mi się wręcz słabo. Port widziałam, ale najpierw musiałam przenieść swój nieporęczny i ciężki bagaż przez bardzo wysoki wiadukt. Widok był niesamowity, nasza grupa rozciągnęła się jak gigantyczna stonoga. Pierwsi już schodzili z wiaduktu, gdy ja dopiero zaczęłam na niego wchodzić. W basenie portowym „Pogoria” przycumowana była oczywiście w jego najdalszym końcu.

### **POGORIA**

Robi na mnie wrażenie. Z daleka widoczne są trzy maszty, każdy wysoki na 32 metry, zaś dwa z nich z rejami. Kadłub ma długość 47 m i szerokość 8 m. Gęsta sieć olinowania ruchomego trochę mnie przeraża. Pod pokładem zastaję wprost komfortowe warunki – wreszcie nie będę musiała się schylać. Grażynce i mnie została przydzielona kajuta armatorska. Takiej ilości miejsca tylko do mojej dyspozycji jeszcze nigdy na morzu nie miałam, zaś warunkami sanitarnymi (prysznic) jestem wręcz zachwycona.

### **ODWIEDZONE PORTY**

Lizbona – jest godzina 22.30, słyszę hałas i nawoływania, wychodzę więc na pokład, by zorientować się, co się dzieje. Okazuje się, że młodzież z drugiej szkoły właśnie wychodzi do miasta (nasi oczywiście także chcą dołączyć), wołam więc Grażynkę i wyruszamy wszyscy. Jedziemy do starej

części portowej. Myślałam, że będzie ona tętnić życiem, lecz się zawiodłam. Chodzimy pustymi ulicami, dzięki temu mogę się lepiej przyjrzeć doskonale oświetlonym kamienicom pamiętającym czasy świetności imperium portugalskiego. Wracamy ostatnim tego dnia i jedynym wagonikiem kolejki. Tak długo staramy się do niego „upchnąć”, aż zrezygnowany motorniczy wyłącza silnik i spokojnie czeka. Wchodzę ostatnia, zaś drzwi dopychają mnie do środka.

La Coruna - po śniadaniu wychodzimy całą załogą zwiedzać miasto. Mamy czas do 13.30, więc nie spiesząc się idę do informacji. Z Grażynką ustalamy marszrutę. Pogoda nam sprzyja. Wyznaczona trasa prowadzi nas starymi uliczkami, mijamy kościoły, nowe osiedla mieszkaniowe. Dotarliśmy w swojej wędrówce aż do Wieży Herkulesa usytuowanej w znacznie oddalonej od portu części rekreacyjnej tego ładnego nadmorskiego miasta. Wracamy nabrzeżem i zamiast podziwiać piękno krajobrazu zaczynamy się spieszyć, czasu jest coraz mniej, a port daleko. Śmiejemy się, że zdążyliśmy wstąpić jeszcze do centrum handlowego usytuowanego na wprost portu.

Cherburg - po długotrwałym postoju na redzie wreszcie wpływamy do portu. Cumujemy budząc ogromne zainteresowanie mieszkańców, którzy pozdrawiają nas i widać, że chętnie weszliby na pokład. Jesteśmy właściwie w środku miasta. Po obiedzie mogę wyjść, by zwiedzić to maleńkie francuskie miasteczko. Zupełnie przypadkowo przechodzę obok parku botanicznego, niestety pawilony były już zamknięte, lecz oaza zieleni, w której niespodziewanie się znalazłam wraz z wszechogarniającą ciszą świetnie na mnie podziałała. Widziałam także umieszczoną w suchym doku przy Muzeum Morskim okazale się prezentującą łódź podwodną, naprawdę ogromną. Niestety przerywam swoją wędrówkę, ponieważ mam wachtę w kambuzie i muszę szybko wrócić na „Pogorię”.

## ŻYCIE NA MORZU

### POSIŁKI:

Śniadanie – po zakończeniu wachty nawigacyjnej trwającej od godziny 04.00 do 08.00 i podniesieniu bandery wreszcie mogę zejść pod pokład i coś zjeść. Okazało się, że nie jest to takie proste. Trzy razy z kubka wylewała mi się herbata, a gdy w końcu udało mi się go przytrzymać tak, by nie uronić ani kropelki płynu, drugą trzymałam kanapkę, to w strumieniu już rozlanej herbaty odpłynął mi ze stołu talerzyk. W herbacianym potoku dopłynął, aż pod drzwi toalety, znajdującej się pod koniec korytarza, by po chwili do mnie wrócić. Więc nie przerywając śniadania przytrzymałam talerzyk nogą i spokojnie dalej napelniałam brzusek.

Kolacja – ale jaka, z deserem! Cook się postarał. Jem galaretkę z musem truskawkowym.

O obiadach nie wspomnę, od dwóch dni jestem przejedzona.

### WACHTY:

Gospodarcza – już pierwszego dnia rejsu trafiła się mojej wachcie najgorsza robota. Zaraz po obiedzie rozpoczęliśmy żmudną i wydawałoby się bez widoków na jej szybkie ukończenie pracę w kambuzie i pentrze. Gdy w końcu klar zapanował w kuchni i wszystkie wielkie tłuste gary, sztuce, talerze, kubeczki, półmiski, wazy zostały umyte, stoły i podłogi także, mogliśmy wyjść na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Tam najodważniejsi załoganci oglądali pokład z wysokości fokrei.

Nawigacyjna – nie wiem jak, ale wstaję o godzinie 04.00. Nadal jest mgła i nikt nie chce sterować. Płyniemy na przyrządy nawigacyjne, bo nic nie widać i do tego jeszcze mamy marną prędkość.

Od 04.00 na godzinę staję przy sterze i udaje mi się nawet utrzymać kurs 030. Później zajmuję się obserwacją morza wokół statku, czyli jestem na tzw. „oku”. Pomimo ciepłego ubranka zrobiło mi się chłodno i po uzyskaniu zgody oficera schodzę pod pokład i zjadam kaszkę. Jest 06.00. Gdy wróciłam na pokład trzeci oficer biegał wzdłuż burt zewnętrznych i po bukszprycie, nikt z załogi nie wiedział, o co chodzi. Jak się wkrótce okazało, kapitan stojący u steru zobaczył pływającego na falach odbijacz i chciał go wraz z oficerem wachtowym wyłowić. Nawigacyjna kończy się dopiero o godzinie 08.00, ale nareszcie wiatr przybrał na sile, więc stawiamy z przodu foksztakla, jako uzupełnienie do już pracujących żagli. Nareszcie upragnione śniadanie, które zjadam szybko, by uczestniczyć w alarmie na żagle. Pogoria płynie wreszcie pod lataczem, bomkliwrem, kliwrem na bukszprycie, oraz czterema żaglami rejowymi na fokmaszcie, czterema sztakslami na grotmaszcie oraz na bezanie. Całkowita powierzchnia pracujących żagli osiągnęła magiczną i niewyobrażalną powierzchnię 1000 metrów kwadratowych. Jacyś ludzie na przepływającym w oddali jachcie zaczynają robić nam zdjęcia. Uwierzcie mi, taka siła napędowa robi wrażenie i jest na co popatrzeć. Gdy patrzy się z wysokości marsrei górnej, białe płótna żaglowe pięknie wpisują się w otaczający nas błękit, pokładu zaś prawie nie widać.

### MANEWRY PORTOWE

Właśnie chciałam się położyć spać, gdy usłyszałam alarm na żagle. Znowu trzeba było się ciepło ubrać i dodatkowo założyć szelki. Gdy wychodzę na pokład jest godzina 21.30. Wokół panuje ciemność, w oddali zobaczyłam jarzące się jak ogniki świętojańskie nadbrzeżne światła - były to latarnie oświetlające nadmorską promenadę. Domyśliłam się, że będziemy wpływać do portu. Pokład został oświetlony i wszyscy zabrali się do pracy. Żagle zostały zrzucone i sklarowane, motorówka opuszczona na wodę, cumy i szpringi przygotowane, obijacze powieszone, trap zmontowany. O godzinie 00.15 uzyskaliśmy stałe połączenie z lądem. Jest już tak późno, że chce mi się tylko spać.

### RYWALIZACJA SPORTOWA

Rozpoczęła się od przeciągania liny, jednak na statku wygląda to zupełnie inaczej niż na lądzie. Rywalizujące ze sobą drużyny stanęły na dziobie po dwóch stronach nadbudówki, zaś lina przeciągnięta była przez dziób i przechodziła przez zamontowane dodatkowo bloczki. Takie zamocowanie liny spowodowało powstanie ogromnych oporów i wszyscy byli bardzo zmęczeni. Kolejna konkurencja polegała na jak najszybszym obejściu pokładu przez wachtę, której członkowie byli ze sobą związani i pokonaniu znajdujących się na nim przeszkód. Nie obyło się także bez sporów dotyczących kary za bieganie po pokładzie. Następnego dnia z Łukaszem przygotowaliśmy coś - jak nam się wydawało - ekstra. Ponieważ wszyscy załoganci wchodzili już na reje, więc zamontowaliśmy z lin zawieszonych nad pokładem „małpi gaj”, niestety tylko nieliczni spośród załogi odważyli się go pokonać, a ja myślałam, że to będzie najfajniejsza konkurencja....

### DELFINY

Zwabione przez światła wydostające się przez bulaje rozpoczęły zabawę i harce wokół statku o porze dosyć niezwykłej, czyli o północy. Były doskonale widoczne, ponieważ niebo tej nocy było bezchmurne. Ja niestety je przegapiłam, ponieważ Grażynka nie dała mi spać i gadała jak najęta dopóki nie wyszła na swoją wachtę. Ja zaś rozpoczynałam wachtę nawigacyjną o szóstej rano i chciałam odpocząć, a tak w ogóle to bym nie uwierzyła, że te morskie stworzenia mogą o tak ekstremalnej porze dokazywać, ale ponieważ to Grażynka mi o tym opowiedziała, więc na pewno tak było.

## JAK WEJŚĆ NA REJĘ

Wystarczy tylko wypatrzeć swojego oficera wachtowego pracującego na rei, następnie udać się do oficera nawigacyjnego pytając, czy ma do przekazania wiadomość do oficera znajdującego się w górze i uprzejmie wdrapać się na wysokość marsrei górnej przechodząc po drodze przez platformy zwane marsem i salingiem z zapytaniem: kiedy skończy pracę?

Naprawdę warto tam wejść, widoki obłędne, statek robi się nie wiedzieć dlaczego taki malutki i podobno, gdy postawione są żagle to jest bezpiecznie, bo osłaniają od wiatru.

### NA ZAKOŃCZENIE o mojej pomyłce

Tak mi się pomyliło, że jak usłyszałam sygnał na pobudkę, to szybko się ubrałam i wyszłam na pokład myśląc, że mam wachtę nawigacyjną. Posiedziałam więc trochę z Grażynką i poszłam na śniadanie, po którym przejęliśmy ster z moją wachtą. Niestety była mżawka i w zasadzie nic się nie działo, ale przecież: „ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy/Ważnych jest kilka tych chwil, tych, na które czekamy”.

Beata Iwańska-Szurmak